

Tomasz Merta: W obronie inteligencji

Najbardziej intrygujące wydaje się to, że to sama inteligencja, która pod koniec lat osiemdziesiątych zakochała się bez pamięci w wolnym rynku, stała się heroldem swojej zbyteczności. Było to doprawdy fatalne zauroczenie – pisał Tomasz Merta o przekształceniach polskiej inteligencji po jej zderzeniu z gospodarką wolnorynkową.

Dyskusje na temat roli i sytuacji inteligencji w Polsce powracają od wielu lat ze zdumiewającą regularnością. Zdumiewającą, bo mizerne przynoszą efekty. Wszystko to przypomina zresztą dworski taniec o wyrafinowanych figurach – ktoś stwierdza, że inteligencja jest nie taka, jaka być powinna, ktoś inny, że pograżyła się właśnie w głębokim kryzysie, ktoś wreszcie, że odchodzi w przeszłość. Ta ostatnia teza pojawia się w dwóch wariantach: na smutno (zierzch inteligencji – cóż za tragedia!) bądź na wesoło (zierzch inteligencji – wreszcie zrzucamy ten zbyteczny i szkodliwy balast). Nie wiem, jaki pożytek może przynieść jeszcze jedno odtańczenie tego samego tańca. Podobno jednak tańczy się dla przyjemności. A zatem spróbujmy.

Artykuł Henryka Domańskiego[1] przedstawia sielankowy obrazek inteligencji bogacącej się i płynnie przemieniającej się w profesjonalistów, to znaczy w czcicieli bożka rynkowej efektywności. „Dyplomy uniwersyteckie – uwierzytelniające wiedzę i kompetencję – pisze Domański – zaczynają działać jak magnes przyciągający coraz więcej dochodów i – co się z tym wiąże – luksusową konsumpcję”. Jest

to zapewne dobra wiadomość dla klepiących biedę nauczycieli czy lekarzy (szkoda tylko, że zapoznać się z nią mogą, czytając gazetę, a nie swoją listę płac...), nie zmienia to przecież jednak faktu, że Domański wyprawia inteligencji pogrzeb – na wesoło, bez świadomości, że to pogrzeb. Cóż bowiem może łączyć bohaterów Żeromskiego – archetypowe wizerunki polskich inteligentów – z owym magnesem, przyciągającym dochody i luksusową konsumpcję, poza poczuciem wzajemnego niezrozumienia i wzgardy? Wacław Nałkowski, sławny geograf i jeden z myślicieli kształtujących umysły całych pokoleń inteligencji polskiej, przeprowadził rewoltującą wielu klasyfikację typów psychicznych, wśród których obok szlachetnego nerwowca (inteligenta będącego forpocztą ewolucji i cywilizacji) znaleźli się ludzie-byki, ludzie-świnie i szczególnie okrutnie przez Nałkowskiego potraktowani ludzie-drewna:

[...] to ludzie dotknięci atrofią uczucia, idioci uczucia. Pod względem fachowym jednak mogą oni stać nieraz bardzo wysoko, być prawidłowo działającymi maszynami [...] ludzie tacy mogą więc być doskonałymi, nawet znakomitymi rzemieślnikami, urzędnikami [...] profesorami, dla wewnętrznego jednak, psychicznego, ideowego rozwoju ludzkości, ci ludzie-drewna są może najszkodliwszymi ze wszystkich.

Ludzie-drewna chętnie przystają więc na los magnesu, dla typu nerwowego byłaby to jednak fatalna klęska. Wszystko, co pisze Nałkowski, może być przedmiotem sporu – chociażby to, czy ideowy rozwój ludzkości, wewnętrzne metamorfozy ludzkiej natury są rzeczywistym celem, czy też jedynie niebezpieczną złudą – bezdyskusyjne jest jednak to, że Nałkowski (a i Żeromski) nijak by

przystać nie mógł na pojmowanie inteligenta jako profesjonalisty, nawet jeśli ów zachodni profesjonalista w polskich warunkach dla zachowania kolorytu lokalnego i „zaspokojenia potrzeby sentymentalizmu” przyozdobiony zostałby ideałem służby społecznej i dbałością o substancję narodową (cokolwiek miałyby to znaczyć).

*Wstępem do tej grupy jest
wykształcenie, ale jest ono
tyleż przywilejem, co i
zobowiązaniem do działań na
rzecz podniesienia poziomu
niższych warstw społecznych*

Jak się wydaje,
większość
nieporozumień w
dyskusjach o
inteligencji – na co
niejednokrotnie
zwracano już uwagę
– bierze się z
nieprecyzyjnej

definicji samego terminu. Często bowiem pojęcia „inteligencja” używa się na określenie warstwy ludzi wykształconych (tak czyni Domański), kwitując co najwyżej odrębność polskiej inteligencji od zachodnich profesjonalistów kilkoma uwagami na temat historycznych uwarunkowań, które w Polsce inteligentów spychały najczęściej poza obręb klasy średniej, gdzie zawsze było podobno ich naturalne miejsce. Inteligent-magnes wtapiający się w nową klasę średnią nie umiera zatem, a jedynie powraca do domu.

Inteligencja – jak pisała Ryszarda Czepulis-Rastenis – nie musi być jednak pojmowana wyłącznie jako warstwa społeczno-zawodowa, ale też jako elita osób nie tylko wykształconych, ale i stawiających sobie za cel realny wpływ na sprawy społeczne. W przeszłości różnica między tymi dwoma znaczeniami pojęcia „inteligencja” nierzadko była słabo czytelna, zwłaszcza ze względu na szczupłość grona ludzi

wykształconych w Polsce. Niewątpliwie jednak specyficzność polskiej inteligencji daje się pojąć jedynie wtedy, gdy odejdziemy od prostego rozumienia jej jako ogółu ludzi wykształconych. Co w takim razie miałyby być wyznacznikiem inteligencji?

Powszechnie uważa się, że termin „inteligencja” pochodzi z języka rosyjskiego – wydaje się jednak, że pierwszeństwo należy się Polakom: słowo to pojawia się już w czterdziestych latach XIX wieku w pismach Libelta i Trentowskiego. Inteligencję, wedle Libelta, stanowią:

[...] ci wszyscy, co troskliwsze i rozleglejsze odebrawszy po szkołach wyższych wychowanie, stoją na czele narodu jako uczeni, urzędnicy, nauczyciele, duchowni, przemysłowi zgoła, którzy mu przewodzą wskutek wyższej swej oświaty. Poza tą klasą leżą masy ludu, niby ogromne pokłady ziemi, sponad których tamci jako wzgórze się wznoszą. Znamieniem jest każdej oświaty, że ciemności nie ścierpi. Zła więc, sztuczna i złudliwa ta oświata, co się ponad ćmą nieoświeconego ludu unosi i tej mgły grubej nie przebija.

W tej definicji daje się wskazać charakterystyczne wyznaczniki inteligencji: wstępem do tej grupy jest wykształcenie, ale jest ono tyleż przywilejem, co i zobowiązaniem do działań na rzecz podniesienia poziomu niższych warstw społecznych. Staje się więc inteligent przywódcą narodu, lecz jego misja nie jest tylko – i nie przede wszystkim – misją niepodległościowego bojowca, ale raczej misją nauczyciela i wychowawcy. Wrażliwość społeczna każe inteligentowi pochylić się nad tymi, którzy są pokrzywdzeni i ciemni, i pomagać im we wznoszeniu się w górę. Ta misja cywilizacyjna,

powinność działania wykraczającego znacznie poza granice zawodowych kompetencji i obowiązków stoi u źródeł polskiego kulturalizmu – rzeczywistego programu polskiej inteligencji. Historię tak pojmowanej inteligencji w najdoskonalszy sposób spisał Bohdan Cywiński (sławne *Rodowody niepokornych*), to ona jest też głównym tematem ciekawych analiz Andrzeja Mencwela (*Etos lewicy i Przedwiośnie czy potop*).

Inteligent, podobnie jak intelektualista, poruszał się w świecie idei, lecz czynił z nich bardziej praktyczny użytek. Nie wkładał maski bezstronnego arbitra, lecz raczej społecznika-aktywisty, cenił nie tyle żonglerkę pojęciami, ile prawdziwy czyn

Inteligencja, choć rościła sobie prawo do bycia opinio- i wzorotwórczą elitą, nie powinna być utożsamiana z intelektualistami. Inteligent, podobnie jak intelektualista, poruszał się w świecie idei, lecz czynił z nich bardziej praktyczny użytek.

Nie wkładał maski bezstronnego arbitra, lecz raczej społecznika-aktywisty, cenił nie tyle żonglerkę pojęciami, ile prawdziwy czyn. Inteligent realizował swe posłannictwo nie tylko w myśleniu, lecz nade wszystko w rzeczywistym działaniu, jego zaangażowanie miało wydać realny, a nie tylko słowny owoc. Intelektualista i inteligent, obaj pragnęli być interpretatorami rzeczywistości, inteligent jednak wypowiadał się nie tylko w czasopiśmie i aulach wykładowych, ale i w małych wiejskich szkółkach czy na odczytach w jakiejś wynajętej salce. Inteligent pojmował swoje obowiązki jako znacznie wykraczające poza te, które wiązały się z jego zawodem – za oczywiste przyjmował

niezbędność działań społecznych i cywilizacyjnych. Ważnym słowem w jego słowniku było „poświęcenie” – wśród polskich inteligentów niezliczone były postaci radykalistów, społeczników i fantastów, którzy w imię wypełnienia swej inteligentkiej misji zaniedbywali czy wręcz rujnowali swe życie osobiste (o ile w ogóle je mieli). Rozdarta sosna z *Ludzi bezdomnych* była czymś więcej niż tylko papierowym, literackim symbolem.

Ta heroiczno-naiwna postawa stanowiła temat kpin czy surowej krytyki, często zresztą najzupełniej zasadnych. Wskazywano na uświęcenie piękno duchostwa i wzgardę dla zawodowej rzetelności i pracowitości, na oderwanie od rzeczywistości, histeryczność tonu. Istotnie, można się domyślać, że inteligent-radykalista nie zawsze był postacią sympatyczną, że zaślepienie wraz z mocnym przekonaniem o własnej wyższości i racji nie są zbyt zachęcającą kombinacją. Prawdą jest też, że zbyt rozbudowane poczucie moralnej odpowiedzialności za naród nierzadko prowadziło inteligentów na ideologiczno-polityczne manowce.

Mimo wszystko jednak nie zapominajmy, że ten zdumiewający mariaż romantycznych porywów serca i pozytywistycznej pracy u podstaw przyniósł wiele dobrego. Że istotnie inteligenci dokonali wiele z tego, co zapowiadali. Awans kulturowy i cywilizacyjny Polaków jest w dużej mierze zasługą działań „niepokornych”. To właśnie oni ukształtowali nasz XX-wieczny język moralny i społeczny, to oni rozbudzili naszą wrażliwość i poczucie odpowiedzialności. Błędem doprawdy byłoby lekceważenie tych osiągnięć.

Czy jednak z historycznych zasług wynika cokolwiek dla naszej teraźniejszości? Czy inteligent wraz ze swym poczuciem misji i cywilizatorskimi zapędami nie stał się człowiekiem zbyt wspaniałym w społeczeństwie rynkowym? W świecie zbiektywizowanych mechanizmów i ekonomicznych wskaźników inteligentne odruchy społecznikowskie stają się już to aberracją, już to komicznym anachronizmem, bo nie ma na nie miejsca tam, gdzie potrzeby ludzkie mają charakter rynkowy, wszelkie relacje społeczne (a zwłaszcza polityczne) opisywane są w kategoriach gry różnych interesów – czasem sprzecznych, czasem wspólnych, ale zawsze utylitarnych i pragmatycznych. Taki sposób myślenia nieuchronnie musi prowadzić do sprowadzania inteligentów do roli profesjonalistów, bo tylko postępowanie profesjonalistów daje się zrozumieć i opisać w rynkowo-redukcyjnym języku. Inteligencja zostaje więc rozwiązana, zwolniona z podjętych zobowiązań i może zająć się tym, co podobno najbardziej lubi – polityką, biznesem i luksusową konsumpcją. Nowi profesjonaliści ze zdumieniem i niedowierzaniem przyglądają się swym dawnym towarzyszom, którzy pozostali tam, gdzie byli kiedyś: na uniwersytetach, w szkołach, w wiejskich przychodniach zdrowia. Ich los mogą wytłumaczyć sobie jedynie jako efekt słabości i niepełnowartościowości: zostali w szkołach, bo są gorsi, mniej profesjonalni – jakaż bowiem może być inna przyczyna pracy za marne grosze?

Najbardziej intrygujące wydaje się to, że w Polsce to sama inteligencja, która pod koniec lat osiemdziesiątych zakochała się bez pamięci w wolnym rynku, stała się heroldem swojej zbyteczności. Było to doprawdy fatalne zauroczenie, po pierwsze dlatego, że wolny rynek znacznie więcej w okresie zalotów obiecywał, niż miał później dotrzymać (dramatyczne rozwarstwienie społeczeństwa, puste

Inteligent pojmował swoje obowiązki jako znacznie wykraczające poza te, które wiązały się z jego zawodem – za oczywiste przyjmował niezbędną działalność społeczną i cywilizacyjną. Ważnym słowem w jego słowniku było „poświęcenie”

inteligentkie portfele). Po drugie, dlatego że inteligencja (a przynajmniej jej najbardziej opiniotwórcza część) padła ofiarą bardzo niebezpiecznego złudzenia o gwałtownym zaniku potrzeb dalszej działalności cywilizacyjnej i

kulturowej. Tak jakby rzeczywiście z dnia na dzień kultura i edukacja stały się samoregulującymi mechanizmami, a ludzie przestali potrzebować tych, którzy objaśniają świat – ale nie świat bezdusznych statystyk i twardych ekonomicznych praw (które, jak wiadomo, mają to do siebie, że w praktycznym zastosowaniu okazują się niespodziewanie miękkie), tylko prawdziwy świat złożonych problemów i trudnych wyborów. Tak jakby ludzie ostatecznie zdecydowali, że interesuje ich tylko papka masowej kultury i żałosne, choć kolorowe imitacje dawnych czasopism. Nonszalancja, z jaką niektóre partie, mniemające się inteligentkami, traktują kulturę i oświatę (pewien wyjątek należy tu uczynić dla Unii Pracy), jest jedną z najbardziej zdumiewających i gorszących rzeczy, które w ciągu ostatnich lat dane nam było oglądać. Apogeum był chyba moment, gdy pewien wybitny polityk tłumaczył z powagą, że edukacja jest tylko usługą – taką jak inne, tyle że ważną. Edukacja jako usługa? Trudno o bardziej otwarte sprzeniewierzenie się inteligentkiemu etosowi.

Przypuszczam, że inteligencja przetrwa likwidatorskie zapędy swoich własnych przywódców i nie uwierzy w jednowymiarowy świat rynku. Być może jej szeregi stopnieją (pewnie już to się stało), ale nie znikną zupełnie. Nie wszyscy dadzą się zamknąć w klatkach swoich profesji, nie wszyscy dadzą się przekonać, że ideał służby społecznej jest martwy, a czynne uczestniczenie i współtworzenie kultury – zbyteczne.

Inteligencja – pisał w 1995 roku profesor Jerzy Jedlicki – jakkolwiek zubożała i często sfrustrowana, nie straci zapewne racji bytu. Jej racją bytu jest bowiem ideowy spór, który nieprędko wygaśnie lub skurczy się do rozmiarów polityki praktycznej. Jej żywiołem jest konflikt wartości, konflikt trudnych do pogodzenia racji. Jej zadaniem pozaprofesjonalnym jest definiowanie sytuacji kraju i proponowanie rozwiązań jego dramatycznych problemów, rozwiązań wzajemnie sprzecznych i nikogo oczywiście niezadowolających, tyle że bez nich poruszałibyśmy się w mroku.

Tomasz Merta

Tekst pochodzi z książki „Nieodzowność konserwatyzmu” wydanej przez Teologię Polityczną

[1] W maju i czerwcu 1998 r na łamach „Życia” toczyła się dyskusja na temat kondycji polskiej inteligencji po upadku komunizmu. Debatę tę zapoczątkował artykuł Henryka Domańskiego „Śmierć inteligenta?”

(„Życie” 8.06.1998 r.). Obok Tomasza Merty głos zabrał także Paweł Śpiewak testem „Zwycięzcy i przegrani” („Życie” 9.06.1998 r.)